

ELCHONEN CEJTLIN

LATO!

NA LATO LITERACKI DOM PRZENOSIŁ SIĘ DO JEDNEGO Z PODWARSZAWSKICH LETNISK, Z KTÓRYCH WIĘKSZOŚĆ LEŻAŁA NA LINII OTWOCKIEJ. TU, NA TEJ SŁYNNNEJ LINII, KONCENTROWAŁO SIĘ W MIESIĄCACH WAKACYJNYCH PRAWIE CAŁE WARSZAWSKIE ŻYCIE LITERACKIE, TU MOŻNA BYŁO SPOTKAĆ WSZYSTKICH LUDZI PIÓRA, OD SŁAW DO DEBIUTANTÓW. NIEJEDEN PIĘKNY PLAN PISARSKI TU SIĘ NARODZIŁ... I UPADŁ. I NIEJEDEN CUDOWNY SEN, UTKANY PRZEZ MŁODYCH, ENTUZJASTYCZNYCH POETÓW W CIEPLE WYGWIEŻDZONYCH LETNICH NOCY OTWOCKICH TU SIĘ ROZPŁYNAŁ I ULECIAŁ RAZEM ZE SMUTNYM PIANIEM WIEJSKICH KOGUTÓW...

Byli tacy, którzy w ciągu długich zimowych miesięcy nie przychodzili do nas do domu w Warszawie albo zjawiali się tam rzadko. Ale za to bywali u nas często, kiedy przynosiliśmy się „na linię”. A kiedy zimowi goście spotykali się w pachnące od kwiatów sobotnie poranki z letnikami, robił się radosny rozgardiasz i ogólne powitania, jak na weselu. Pod uśmiechniętym słońcem, przy łagodnym szumie sosen z pobliskiego lasu, pisarze, w mieście często skłóćeni, godzili się ze sobą, a przy wesołym dźwięku sztuczków szabasowej wieczery byli już ze sobą całkiem za pan brat.

Mieszkaliśmy w Miedzeszynie, letnisku leżącym na linii, w wolnostojącym drewnianym domku na brzegu gęstego, ciemnozielonego lasu sosnowego. Długie gałęzie drzew rozciągały się nad dachem jak palce błogosławiących kohenów.

W tym samym domku mieszkał oprócz nas wydawca B. Szimin², do którego również przez całe lato zjeżdżali się gromadnie pisarze, szczególnie ci, którym Szimin obiecał wydanie czegoś; wpadali więc do niego, by trzymać rękę na pulsie i wywiedzieć się od niego, jak stoją interesy: na jakim etapie jest ich książka i czy można by przy okazji dostać kilka złotych zaliczki.

Nasi goście mieszały się więc z gośćmi Szimina, granice się zacierały, stoły obiadowe – jego i nasz – wynosiło się z domu

i stawiało obok siebie pod ciepłym błękitnym niebem i od razu, jeszcze zanim czegokolwiek zdążyło się spróbować, nasz pogodny śpiew mieszał się z bez troskimi głosami ptaków w lesie.

Tu, w Miedzeszynie, spacerując z ojcem w chłodny, biały poranek na początku lata, po raz pierwszy spotkałem Nomberga³, o którym często słyszałem w Warszawie, ale którego wcześniej nie poznałem bliżej. Był niski, chudy, z cienkimi, pałkowatymi nogami, ale głowę miał za to dużą, zupełnie nieproporcjonalną do figury. Jego zielonoszare oczy, lekko zamglone, mądrze i przenikliwie spoglądały spod dużego, pomarszczonego czoła. Nomberg mówił bardzo szybko, w głęboko polskim jidysz, z *jach* i *wue*⁴, mój ojciec natomiast posługiwał się prawdziwie litwackim dialektem⁵. Odnosiłem wrażenie, że za dobrze się nie rozumieją. Śmiać mi się chciało, gdy Nomberg pytał ojca co chwilę: „*Wu-e?*”, a ojciec odpowiadał na to pytaniem: „*W-o-o-s?*”⁶. Później, gdy Nomberg zaczął częściej przychodzić do nas i do Szimina, przyzwyczaiłem się do jego wymowy, a i ojciec dobrze go już rozumiał. Nomberg często kłócił się z nim, nie mogąc pojąć jego przywiązania do religii i zapału, z którym bronił życia według zasad judaizmu; tego właśnie lata, jeśli dobrze sobie przypominam, ostro ze sobą polemizowali. To im jednak oczywiście nie przeszkadzało utrzymywać

1 >> Fragment książki Elchonena Cejtlina pt. *In a literariszer sztab* [W literackim domu], Warszawa, 1937; wyd. drugie, Buenos Aires: Central-Farband fun Pojlisze Jidn in Argentine, 1946 (przypisy tłumaczkii).

2 >> Binjamin Szimin (1880–1942) – znany wydawca warszawski. W 1907 r. założył wydawnictwo B. Szimin, gdzie wydawał książki w jidysz, w tym dużo tłumaczeń z literatury światowej. Przed pierwszą wojną światową współpracowali z nim m.in. pisarze: Icze-Mejer Wajsenberg, Hilel Cejtlin, Mojsze Stawski, Jojne Rozenfeld, Awrom Rejzn i Joel Mastbojrn.

3 >> Hersz-Dowid Nomberg (1876–1927) – znany żydowski prozaik i krytyk. Mieszkał w Warszawie od 1897 r. Uczeń i bliski współpracownik Pereca. Jeden z założycieli i długoletni przewodniczący Stowarzyszenia Literatów i Dziennikarzy Żydowskich.

4 >> ‘Ja’ i ‘co’; w dzisiejszym standardowym jidysz wymawia się *ich* i *wos*.

5 >> Hilel Cejtlin pochodził z Litwy.

6 >> ‘Co’ w dialekcie północnym.



Hilel CEZTLIN

poprawnych, a nawet przyjacielskich stosunków. Ojciec wysoko cenił przenikliwość Nomberga, jego otwarte i jasne poglądy, błyskawiczną orientację, zdolność określania istoty rzeczy i trafną ocenę aktualnych wydarzeń. Z kolei Nomberg podziwiał styl ojca, jego temperament i liryczne pióro.

Nomberg mieszkał w pensjonacie w Miedzeszynie. Przez cały dzień słychać tam było skrzywienie staromodnych, zachrypniętych gramofonów i mlaskanie grubych kobiet z Nalewek, oblizujących się po tłustych, tuczących potrawach. Nomberg często się uskarżał, że nie dają mu tam spać, że całymi nocami ludzie snują się po korytarzach; obojętnie, jak późno on, Nomberg, przyszedłby się położyć, są tam pensjonarki, które wracają na noc jeszcze później, a kiedy już w końcu udaje mu się przed świtem zasnąć, zaczynają go prześladować koguty i urywają mu głowę swoim pianiem... Mimo tego nie chciał mu się przeprowadzać do innego pensjonatu, tym bardziej, że w tym samym „instytucie konsumpcyjnym” mieszkał również jego przyjaciel Awrom Rejzn⁷, który nic sobie nie robił ani z obzerających się kobiet, ani z niegodziwych kogutów. A skoro Rejzenowi tam się podobało – to dlaczego niby on miałby stamtąd uciekać?

– On śpi jak zabity⁸ – skarżył się na niego Nomberg, wyraźnie mu przy tym zazdrosząc.

Rejzn wybuchnął wtedy jowialnym śmiechem, pokazując szereg lśniących zębów, których śnieżna, oslepiająca biel kontrastowała z jego ciemną, cygańską cerą. W jakiś rok później Rejzn dał sobie wstawić kilka złotych zębów i to połączenie bieli, złota i ciemnego brązu dodawało jego pociągłej, kanciastej twarzy przedziwnego męskiego uroku.

Może właśnie dlatego, że Nomberg nie czuł się za dobrze w hałaśliwym miedzeszyńskim „instytucie konsumpcyjnym”, bardzo chętnie spędzał czas w naszym odosobnionym letnim domku, choć i tu bywało całkiem gwarnie. Ale tutaj czuł się jak u siebie w domu, w otoczeniu przyjaciół, znajomych i przede

wszystkim – dziewcząt: kursistek lub tak zwanych „dodatków literackich”. Nomberg godzinami spacerował z nimi w pobliskim lesie albo na poźółklej, wytysiałej polanie. W wolne dni letnie kursistki ze szkoły freblowskiej Halperna i Altermana wybierały się „na linię”, by spędzić kilka godzin w towarzystwie „sław”, czyli pisarzy. Pełniły rolę literackiej poczty pantoflowej: na linii wyciągały z zanadru zazwyczaj niewinne ploteczki o pozostałych w Warszawie zimowych pisarzach, a z powrotem do miasta zawoziły świeży pakiet opowieści o letnikach.

Nomberg z przekąsem wyrażał się o kursistkach, które „mdlały po hebrajsku”, ale szczególnie drwił sobie, gdy przyczepiał się do niego jakiś nudny „dodatek literacki”. A gdy dodatek nosił jeszcze do tego okulary i ścigał Nomberga, chcąc go akurat uraczyć na „tonie natury” własnym „utworem literackim”, otworzyć przed nim „swe serce”, co rymowało się z „kobierce” i „iskierce” – rozprawił się on z takim dodatkiem tak kąśliwie, że ofiara przestawała dręczyć go swymi piśmiidłami, pojmując, że z Nombergiem lepiej nie zaczynać. [...]

Pisarzy, którzy przyjeżdżali do Miedzeszyna odwiedzić nas czy Szimina „tylko na kilka godzin”, nie wypuszczano się oczywiście tak od razu z powrotem do miasta. Zatrzymywano się ich na noc i często zostawali już na kilka dni. A kiedy zjeżdżała się naraz cała gromada i nie starczało dla wszystkich miejsca do spania, wykładano się na werandach sienniki ze świeżą pachnącą słomą, na której smacznie, letnio i głęboko się chrapało...

Za dnia ta gromada zazwyczaj rozchodziła się po całej linii: ten wybierał się pieszo do sąsiednich letnisk, by odwiedzić przyjaciół i znajomych z miasta, inny łapał kolejkę do Świdra, by tam w upalny dzień zanurzyć się w płytkiej, mętnożółtej rzeczce. Reszta przepadała na cały dzień, zaszywając się w chłodne, ciemne kryjówki miedzeszyńskiego lasu; wytaniali się stamtąd dopiero pod wieczór, kiedy słońce chyliło się już ku zachodowi i... kiedy głód porządnie już im dokuczał. Wtedy dopiero zbierała się cała gromada z czterech stron linii i pożerała z wilczym apetytem śmietanę, soczyste ogórki i świeże bułeczki, które wystawiano się na stół na werandzie.

Jedynym, który nie odstępował od drzwi tego domostwa – nie opuszczał całymi dniami naszego miedzeszyńskiego domku, był Mojsze Stawski⁹. Milczący, zamknięty w sobie, często całymi godzinami przesiadywał sam jeden na werandzie mieszkania Szimina lub naszego i wpatrywał się bez ruchu w krzywo zwisającą gałąź ciemnoszarej sosny albo

7 >> Awrom Rejzn (1876–1953) – jeden z najbardziej do dziś popularnych pisarzy żydowskich. Poeta, prozaik i krytyk. Obok Pereca, Nomberga i Asza należał do najważniejszych postaci warszawskiego żydowskiego życia literackiego. Dużo podróżował, od 1911 mieszkał z przerwami w Stanach Zjednoczonych.

8 >> W oryginale autor oddaje polską wymowę jidysz Nomberga: *Eje szloft wi a gehargeto*, podczas gdy w jidysz północnym brzmiałoby to *Er szloft wi a gehargeter*.

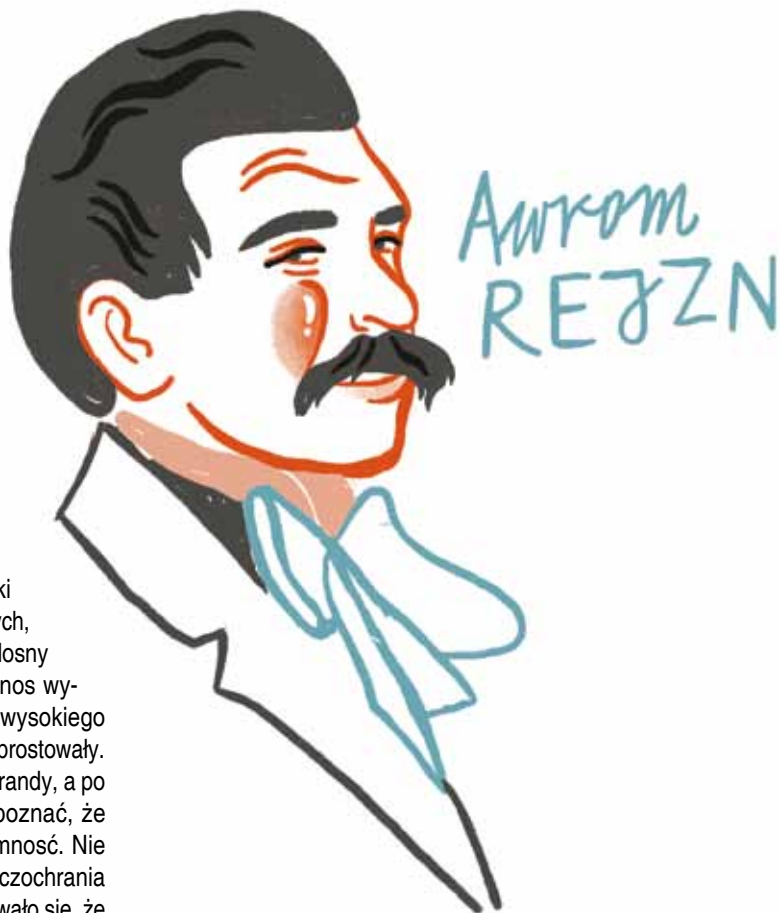
9 >> Mojsze Stawski (1883–1964) – prozaik żydowski i hebrajski, znany przede wszystkim z opowiadań o zwierzętach. Mieszkał w Warszawie w latach 1906–1911, następnie osiedlił się w Palestynie.

w bladą różę, rosnącą samotnie pod oknem. Schodził z werandy dopiero wtedy, gdy dochodziły do niego intrygujące odgłosy z pobliskiego kurnika, gdzie koguty i kury zapewne nie mogły sprawiedliwie podzielić się jadem i rwały się za czuby, lub też gdy świnia należąca do polskiego stróża zaczynała się czochrać akurat o ściankę naszej werandy, oznajmiając wszem i wobec, że istnieje i właśnie cieszy się życiem... Wtedy smutno zamyślony Stawski zmieniał się nie do poznania: w jego zielonoszarych, jakby przygaszonych oczach błyskał jasny, radosny płomyczek, opuszczony przedtem na kwintę nos wyostrzał się, a jego szerokie plecy, z powodu wysokiego wzrostu zawsze trochę przygarbione, nagle się prostowały. Ożywiony, rozpogodzony szybko schodził z werandy, a po jego dobrodusznym uśmiechu można było poznać, że zadowolenie świni sprawia mu wielką przyjemność. Nie odpędzał świniaka nawet wtedy, gdy od jego czochrania cienkie ścianki werandy tak się trzęsły, że wydawało się, że zaraz runą i cały taras legnie w gruzach. Stał tam wniebowzięty tak długo, dopóki nie pojawiła się służąca z wałkiem albo jasnowłosi synowie stróża nie zbiegli się, by pogonić do domu świńską zgubę.

Raz po takim zdarzeniu Stawski wszedł na werandę Szimina, pospiesznie wyjął z kieszeni na piersiach kilka podłużnych kartek papieru, po czym zaczął szybko je zapisywać. Cały się pochylał nad tymi papierami, zupełnie jakby chciał je połknąć albo jakby się bał, że ktoś mu je zabierze. Zakradłem się wtedy niepostrzeżenie na werandę, wdrapałem się na drewniane sztachetki i z zaciekawieniem spojrzałem na zapisaną kartkę. Na samej górze dostrzegłem tytuł zapisków: „Historia świni”...

Dopiero wtedy pojąłem, dlaczego Stawski jest tak milczący w towarzystwie ludzi, nawet przyjaciół: naprawdę bliski był mu świat zwierząt i ptaków, dzikich i domowych, to w nim czuł się u siebie, odżywał, oddychał swobodniej i szybciej; dlatego z taką radością i miłością obserwował krowy, pędzone każdego ranka i wieczoru obok naszego domku przez bosego, obdartego pastuszka z sąsiedniej wioski Miedzeszyn Stary; dlatego tak czule głaskał zawsze czarnego, smutnego kudłatego psa stróża, gdy ten zbliżał się do werandy i prosił niemo, zapłakanymi oczami, o kostkę ze stołu; i dlatego nie opisywał prawie nigdy ludzi ani ludzkich przeżyć – widocznie za bardzo go one nie interesowały – i bohaterami wszystkich jego opowiadań było bydlę, ptactwo albo zwierzęta domowe.

Ale – nie zawsze można mieć, co się chce. Stawskiemu nie udało się oczywiście zupełnie odizolować od kompanii. Gdy zapadał wieczór i ludzie zaczynali się zbierać u nas i u Szimina, robiąc przy tym dużo hałasu, Stawski musiał się poddać. Wyrywano go wtedy na siłę z samotności i wciągano do ogólnego rozgardiaszu, do rozmowy i przede wszystkim do gry naszych letnich nocy – gry w uwagi; zabawa ta często przeciągała się godzinami, dopóki nie rozlegało się



poranne skrzywienie wiejskich fur, wiozących mleko i nabiał na okoliczne letniskowe targi. Gra w uwagi polegała na tym, że jeden z graczy – za każdym razem inny – wymieniał jakiś przedmiot, nazwisko, pojęcie i na czas zabawy w to się właśnie przeistaczał; mógł to być na przykład kamień, woda, drzewo, król, szewc, ptak, niebo, chmura, pies, kot czy po prostu przystojny młodzieniec. Wszyscy pozostali uczestnicy gry musieli wypowiadać o nim swoje zdanie.

Nie przekazywali go jednak królowi tudzież kotu bezpośrednio. W tym celu wyznaczało się specjalnego „komisarza”, zbieracza uwag, który miał za zadanie obejść wszystkich graczy, zebrać i zapamiętać uwagi każdego z nich. Gdy komisarz miał już w pamięci wszystkie uwagi, przekazywane mu szeptem do ucha, referował je po kolei obiektowi gry, nie zdradzając naturalnie, kto mu którą przekazał. Delikwent zaś musiał zgadnąć, kto co o nim powiedział. Jeśli zgadł – wtedy autor uwagi musiał sam zająć miejsce poprzedniej ofiary i słuchać uwag na swój temat.

Rozumie się, że taka gra była często wykorzystywana do rozrachunków z przeciwnikiem – literatem, bywała okazją do wbicia szpilki i nagadania mu, ale w większości były to dobrotliwe i dowcipne uwagi; uczestnicy uwielbiali tę grę, uważając ją za wyśmienitą rozrywkę i dobry sport umysłowy. Jako że komisarz musiał mieć dobrą pamięć, a do tego dużo taktu, by przekazywać uwagi w odpowiedniej, często złagodzonej formie, szlifując niepotrzebne ostrza, musiał też – przede wszystkim – cechować się humorem, na komisarza najczęściej wyznaczany był Nomberg. Ze swą szybką orientacją, dobrą pamięcią, delikatnością i wrodzonym poczuciem humoru, nadawał się znakomicie do tego zaszczytnego urzędu, wykazując się przy sprawowaniu tej funkcji wyjątkową finezją i znajomością charakterów. Jeżeli się czasem zdarzało, że komisarzem był kto inny, a sam Nomberg grał rolę ofiary, o której wypowiadano uwagi,

prawie za każdym razem udawało mu się zgadnąć, kto co o nim powiedział. Domyślał się tego zapewne nie tylko z wyrazu twarzy, który czasem zdradzał autora uwagi, ale również dzięki jej treści i formie. A jeśli samemu Nombbergowi przychodziło wypowiedzieć jakąś uwagę, była ona zawsze błyskotliwa, krótka i uszczypliwa, wypowiedziana z subtelnym humorem.

W zabawie w uwagi brali udział – nie licząc gospodarzy, czyli taty i niskiego, zawsze roześmianego Szimina, z malutkimi, rozbieranymi oczkami i strasznie cienkimi nogami - przede wszystkim Rejzn, Nombberg, Kasel¹⁰, Karlinski¹¹, Stawski, często również Mastbojm¹² i Kaganowski¹³. Pewnego razu, wieczorem, przyjechał również z miasta na uwagi Szolem Asz. Ale gra mu się nie spodobała. Siedział nachmurzony, milczący, a jego wielkie, czarne, okrągłe oczy patrzyły na obecnych z jakąś dziwną obcością. Długo nie zabawił. W trakcie gry podniósł się, podał ojcu i Sziminowi grubą, zaczerwioną rękę, innym uchylił twardego, czarnego kapelusza i – udał się z powrotem na kolej, do miasta...

Oprócz tego w zabawie brał udział mój starszy brat, Aron, a także, naturalnie, również „dodatki literackie” i kursistki, które promieniały z zachwytu i ze szczęścia, że one również mogą wyrazić jakąś uwagę o uznanym pisarzu. Nie wszystkie „dodatki literackie” należały do płci pięknej. Były też męskie „dodatki”, w większości czytani młodzieńcy, którzy w mieście, w zimowe wieczory przychodzili do ojca i zanudzali go pytaniami o Mesjasza, o nieśmiertelność duszy, o „ośrodek duchowy”. Niektórzy z nich nie dawali ojcu odetchnąć nawet w lecie, kiedy wyjeżdżał na odpoczynek, i byli u nas częstymi gośćmi także na nadwiślańskiej linii (jak się wówczas zwykło mówić na miejscowości letniskowe między Wawrem i Otwockiem). Jeden z takich „dodatków”, Ch., który miał strasznie grube wargi i nigdzie się nie ruszał bez grubego, sękatego kija, dostał kiedyś zaszczytu bycia tym, o kim wypowiadano uwagi. Z zaskoczenia kompletnie zbieła na twarzy, a jego grube wargi drżały. Zaczął się jąkać i przez dłuższą chwilę nie był w stanie powiedzieć, jaką rolę sobie wybrał. Nagle twarz mu pojaśniła i wybuchnął:

– Bóg!... Chcę być bogiem!

Ten genialny pomysł, że najodpowiedniejszą i najmniejszą rzeczą, na jaką może paść jego wybór w domu Hilela Cejtlina, jest bycie... bogiem, musiał mu chyba zostać podsunęty przez same niebiosy, bo przez długą chwilę promieniował taką egzaltacją, jakby rzeczywiście wypełniał na tym grzesznym padole jakąś wielce podniosłą misję. Widząc głupkowaty wyraz twarzy Ch., Nombberg zrobił

śmiertelnie poważną minę i zaczął zbierać uwagi o „bogu” z wielką pompą. Ze wszystkich uwag pozostało mi w pamięci zdanie Arona:

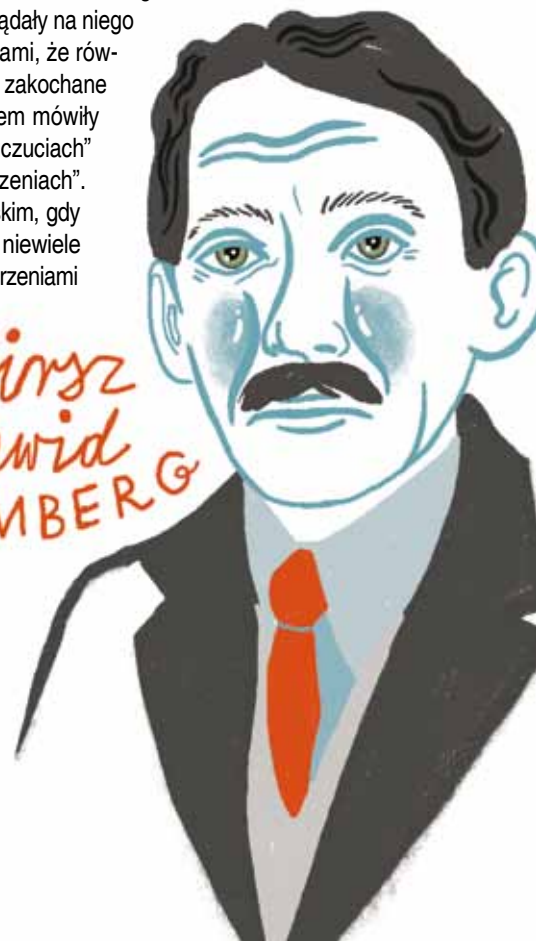
– Boga z kijem się nie boję...

Nombbergowi, a także reszcie towarzystwa bardzo się to powiedzenie spodobało. Ma się rozumieć, że Ch. nie zgadł, kto tak ironizował na temat jego boskości oraz kija. Dowiedział się tego dopiero kilka dni później. Czy od tego zmartwił, tego nie wiem, ale pamiętam, że od tego czasu przychodził już do nas bez tego dziwaczego sękatego kija.

W zabawie w uwagi pisarze grali w większości role przedmiotów lub bohaterów swych opowiadań. Kaganowski, na przykład, wybierał sobie to, co miało związek z jego „dziewczynami”¹⁴ – kursistkami, których życie znał od podszewki. Czuło się wtedy od niego powiew młodego lasu. W jego głębokich, łagodnych, ciepłych zielonkawych oczach zawsze tliła się jakaś iskierka. To może właśnie przez tę iskierkę tyle młodych dziewcząt nie odstępowało go na krok. Gdyby nie czupryna gęstych czarnych włosów i dziecięcy uśmiech, rysujący się zawsze między kącikami ostro wyciętych, bladoczerwonych warg, Kaganowski wyglądałby jak młody szlachcic-myśliwy; nosił bowiem brązowe aksamitne spodnie, włożone w cholewy czarnych, wyzywająco wypucowanych, błyszczących botów oraz wytarty, okrągły zielony kapelusz, z którego zawsze wystawało jakieś przekrzywione, biało-szare piórko. W owym czasie Kaganowski nie żył jeszcze z pisarstwa. Utrzymywał się z rysunków i malowania tanich widokówek, jako że miał zdolności malarskie. Pisał natomiast jako amator. Gdy Kaganowski siedział na tronie przeznaczonym dla ofiary i trzeba było o nim wypowiadać uwagi, kursistki i „dodatki” spoglądały na niego takimi zakochanymi oczami, że również ich uwagi o nim były zakochane i prawie za każdym razem mówiły o „łasknocie”, „tkliwych uczuciach” czy „niespełnionych marzeniach”.

Za to uwagi o Stawskim, gdy siedział na tronie, miały niewiele wspólnego z ulotnymi marzeniami

Hirsz
Dawid
NOMBERG



10 >> Dawid Kasel (1881–1935) – prozaik, poeta, autor książek dla dzieci i podręczników szkolnych, tłumacz na jidysz. Pochodził z Mińska, od 1910 r. mieszkał w Warszawie. Związany z Bundem.

11 >> Ber Karlinski (1886–1935) – dziennikarz i tłumacz na jidysz. Mieszkał w Warszawie od 1904 r. Współpracował z wydawnictwem Szimina.

12 >> Joel Mastbojm (1884–1957) – bardzo w swoim czasie popularny powieściopisarz żydowski.

13 >> Efraim Kaganowski (1893–1958) – prozaik, autor opowiadań i wspomnień o pisarzach żydowskich. Urodzony w Warszawie, drugą wojnę światową przeżył w Rosji. Po wojnie mieszkał w Paryżu.

14 >> Kaganowski był autorem książki pod tytułem *Mejdlach: jugnt-epizod* [*Dziewczyny: epizody z młodości*], Warszawa: Kultur, 1914.

Ber
KARLIŃSKI



czy zgasłymi uczuciami. Stawski, który tematy swych opowiadań czerpał z życia dzikich i domowych zwierząt, określał się w czasie gry jako cielak, kot, pies albo wręcz... rasowy koń arabski. Uwagi na jego temat dotyczyły więc raczej stajni, obornika czy siana. Natomiast "tytuły" Mastbojma za każdym razem miały coś wspólnego z życiem młodych chłopek, Cyganów lub z pracownikami hut szkła wokół Siedlec, jego rodzinnego miasta. Siedząc na tronie miał zwyczaj nerwowo bębnić palcami w stół albo przebierać nimi w powietrzu; podśpiewywał przy tym pod nosem kawałki z arii operowych. Uwag prawie nie słuchał, ale gdy ktoś mu wbijał szpilę lub gdy mu się wydawało, że jakiś uczestnik nie ma wygórowanego mniemania o jego ostatniej publikacji, zrywał się z miejsca i otwierał szeroko parę wściekłych, zaskoczonych oczu:

– Ha?

Nomberg wybierał sobie role związane z tematem dnia: nazywał siebie „dozorem bóżniczym”, „asymilatorem”, „burżujem”, co prowadziło od razu do gorączkowej dyskusji, w której wyrażały się najróżniejsze poglądy na aktualne problemy społeczeństwa żydowskiego. W takich przypadkach obecni zapominali zupełnie o grze – forma krótkich uwag okazywała się o wiele za wąska – i zaczynała się głośna sprzeczka o asymilację, o nacjonalizm i o... grube ryby z zarządu chasydzko-asymilatorskiej gminy żydowskiej w Warszawie. A kiedy dyskusja osiągała zenit i najlepszym argumentem stawało się to, kto kogo przekrzykcy, Nomberg wstawał ze stołka i machał niedbale ręką:

– No, na mnie już czas!

Dowid Kasel, o włosach obciętych na jeża nad niskim, prostokątnym czołem, z szarymi, krótkowzrocznymi oczami, które strachliwie wyglądały spod cienkich szkielek okularów, podchodził do tronu – najlepszego, miękko wysłanego stołka u szczytu stołu – małymi, miękkimi kroczkami, nieco podskakując. Pomysły do gry czerpał prawie zawsze ze wsi rosyjskiej i w środku upalnego lata zachciewało mu się nagle słuchać uwag o głębokim rosyjskim śniegu lub o srebrzysto dźwięczących dzwoneczkach syberyjskich sań...

Za to Karliński często przekształcał Miedzeszyn w... starożytną Grecję. Przybywszy niedawno z kolneńskiej czy łomżyńskiej jesziwy, był zakochany w kulturze helleńskiej i nie przestawał głosić piękna i dobrodziejstw Hellady. Rozumie się, że również przy grze w uwagi nie przepuszczał okazji, by swymi rolami skierować rozmowę na bogów greckich, Olimp oraz... wyższość estetyki nad etyką. Ten cichy, miły młodzieniec, z długim, cienko wyrzeźbionym nosem i płonącymi miękkim blaskiem smutnymi oczami, zbyt

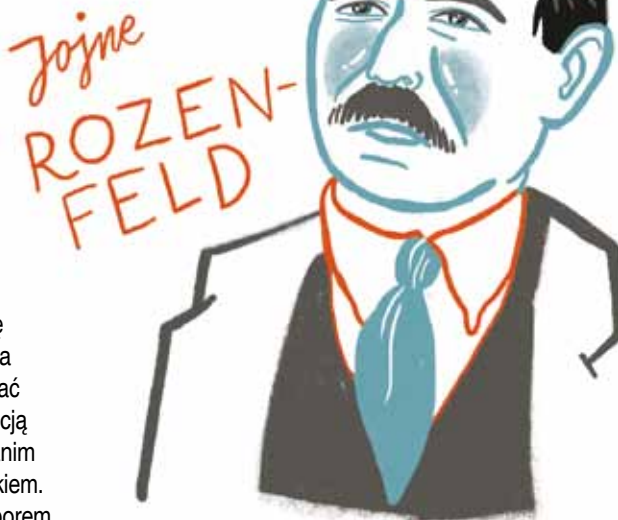
łagodny, a także zbyt słaby fizycznie by skrzywdzić muchę – był szczupły i delikatny jak kwiat – cały się zapalał, odmalowując zalety atletycznych wyczynów i uzasadniając potrzebę krzewienia kultury fizycznej u Żydów, ściągnięcia ludu Księgi z niebieskich wyżyn na twardą, zdrową ziemię. Przesuwając co chwila długimi, cienkimi białymi palcami po kruczoczarnych lśniących włosach, które spadały mu pasmami na blade czoło uczonego w Piśmie, ten zazwyczaj cichy Karliński patał i krzyczał aż do zachrypnięcia, gdy chodziło o filozofię grecką.

Najbardziej spierał się z ojcem, który, ma się rozumieć, zaciekle bronił judaizmu przed strzałami szarżującego hellenisty. Te sprzeczki nie przeszkadzały jednak Karlińskiemu wysoko cenić ojca, którego książkę *Dobro i zło* Karliński dopiero co skończył był wtedy tłumaczyć z hebrajskiego na jidysz dla wydawnictwa Szimina (gdzie ukazała się pod tytułem *Problematyka dobra i zła*¹⁵).

Gorące dyskusje były przerywane przez mamę, która zapewne wyznawała maksymę, że Aleksander Wielki był owszem wielkim człowiekiem, ale bić się o to nie ma po co – i gdy krzyki docierały już pod niebiosa, stawiała na stole takie potrawy, że trzeba by mieć serce bandyty, żeby ich nie spróbować. Kłótnie od razu przycichały, by w końcu zupełnie wygasnąć. Największy sukces przy stole odnosiły kunsztownie pokrojone, świeże pomidory, które działały na zmysły swą bujną, krwistą czerwienią. Dla pełnego talerza pomidorów ze śledziem Jojne Rozenfeld¹⁶ gotów był poświęcić życie. Jego małe, dobrodusze oczy, przesłonięte ciemnoszarą zasłoną, ożywiały się, gdy na stole pojawiał się półmisek śledzi, otoczonych cząstkami soczystych pomidorów. Rejzn wiedział o tej pasji Rozenfelda i, jako że również uwielbiał pomidory ze śledziem, nawiązywała się między nimi przy stole cicha, lecz zaciekła rywalizacja. „Konflikt literacki” wyrażał się przy tym w ten sposób, że jeden próbował drugiego przegonić w ilości pochłoniętych kęsów (w dzisiejszym sportowym języku nazywałoby się to walką na punkty). Za zwycięzcę uważał się ten, któremu udało się zgnać sprzed nosa konkurenta ostatnią cząstkę pomidora.

15 >> Hilel Cejtlin, *Dos problem fun guts un schlechts*, Warszawa: B. Szimin, 1911.

16 >> Jojne Rozenfeld (1880–1944) – prozaik i dramaturg żydowski, autor opowiadań psychologicznych. W 1921 wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, zmarł w Nowym Jorku.



Pewnego razu Rejzn zrobił Rozenfeldowi kawał, za który ten mógłby go na pewno zaskarżyć za nieuczciwą konkurencję. W każdym razie miał on niewiele wspólnego z tym, co w języku gentelmenów nazywa się fair play.

Gdy na stole werandy pojawił się wielki talerz cienko pokrojonego śledzia i szerokich cząstek pomidorów, Jojne Rozenfeld musiał akurat na chwilę odejść od stołu, zostawiając Rejzena samego na placu boju. Rejzn nie dał się długo prosić i zaczął grać solo przy ogólnym aplauzie obecnych. Jego ambicją było teraz wyczyścić stół z ulubionej potrawy, zanim wróci konkurent i zostawić Rozenfeldowi figę z makiem. I rzeczywiście – z godną podziwu szybkością i uporem zawzięcie wgryzał swe lśniące białe zęby w soczystą czerwień pomidorów. Rozenfeld spóźnił się kilka minut i kiedy wskoczył z powrotem na werandę, biegnąc swymi drobnymi, szybkimi kroczkami, dostrzegł od razu, jaka katastrofa tu się wydarzyła. Gromada przy stole z trudnością powstrzymywała się od śmiechu. Jeden tylko Rejzn siedział poważnie, jakby nie zdawał sobie sprawy ze swego przestępstwa. Rozenfeld wpatrywał się we wroga tak ostro i przenikliwie, że ten nie wytrzymał jego spojrzenia i wybuchnął śmiechem. Rozenfeld groził mu zemstą... Ale Rejzn już go nie słuchał i zaczął podśpiewywać tęskną pieśń wieczorną Kacnelsona:

*Słońce zachodzi w ogniu,
Ze słońcem znika dzień...*

Głód zemsty od razu ucichł i Rozenfeld, kładąc owłosioną rękę na ramieniu Rejzena, już śpiewał razem z innymi swym zachrypniętym głosem:

*Tak znika me marzenie,
Rozpływa się mój sen...*

przełożyła Natalia Krynicka

Elchonen Cejtlin (1902–1942) – pisarz, dziennikarz i działacz społeczno-kulturalny międzywojennej Polski. Należał do drugiego pokolenia „literackiej rodziny” Cejtlinów. Syn Hilela (1872–1942), pisarza religijnego i filozofa judaizmu, młodszy brat poety i dramaturga Arona (1898–1973), Elchonen znalazł własną drogę w literaturze jidysz. Urodzony w Rochaczewie na Białorusi od wczesnego dzieciństwa aż do przedwczesnej śmierci związany był z Warszawą. Tu ukończył gimnazjum polsko-żydowskie, zaczął studia medyczne, związał się z partią folkistów, a następnie kręgami syjonistycznymi. Działał w Towarzystwie Ochrony Zdrowia, a krótko przed wybuchem wojny został sekretarzem Związku Literatów i Dziennikarzy Żydowskich. Poświęcił się pracy dziennikarskiej: wydawał najpierw *Warszewer Cajtung* (*Gazetę Warszawską*), następnie od 1926 roku *Warszewer Ekspres* (*Ekspres Warszawski*) i *Undzer Ekspres* (*Nasz Ekspres*). Sam pisał recenzje oraz eseje o pisarzach i aktorach zebrane później w tomie *Buch un bine* (*Książka i scena*, Warszawa 1939), okazjonalnie także wiersze (jego *A bikhele lider* – *Tomik wierszy*, wydany w 1931 r. przeszedł bez echa).

Jego najbardziej znaną książką jest bez wątpienia *In a literariszer sztub* (*W literackim domu*), wspomnienia z domu rodzinnego, których pierwszy tom, obejmujący okres do pierwszej wojny światowej, ukazał się w roku 1937. „Literacki dom” Hilela Cejtlina mieścił się najpierw w Wilnie, a od 1908 roku – w Warszawie przy Śliskiej 60 (sam Elchonen już jako dorosły człowiek mieszkał niedaleko, bo pod numerem 8). Jako młody chłopiec, przyszły literat uważnie przyglądał się gościom ojca – uznanym pisarzom żydowskim i hebrajskim z całego kraju, debiutantom pokazującym pierwsze utwory, ludziom szukającym rady u Hilela – cenionego nie tylko jako twórca, ale i autorytet moralny. Obdarzony doskonałą pamięcią, zmysłem obserwacji i humorem, Elchonen pozostawił świadectwo epoki, dzięki któremu postacie znane z *Leksykonu pisarzy żydowskich* stają się ludźmi z krwi i kości.

W 1946 r. w Buenos Aires ukazało się drugie wydanie tej książki wraz z wierszami Elchonena i zdjęciami rodziny Cejtlinów oraz gości „literackiego domu”. Można tam również znaleźć teksty o pisarzu autorstwa krytyka Szmuela Nigera (który znał Cejtlinów jeszcze z Wilna), Marka Turkowa (który sam był częstym gościem na Śliskiej 60) i Arona Cejtlina. Starszy brat Elchonena wspomina między innymi ich wspólną podróż do Palestyny, gdzie spędzili rok (1921) w kolonii Zichron Jaakow. Sama podróż w obie strony obfitowała w perypetie iście powieściowe – nielegalne przekraczanie granicy (urodzeni na Białorusi bracia Cejtlinowie nie mieli przez długie lata obywatelstwa polskiego i jako „Rosjanom” odmówiono im wizy austriackiej), areszt w Bratysławie, wyskakiwanie z jadącego pociągu... Po wybuchu drugiej wojny światowej Elchonen uciekł do Lwowa, mając nadzieję, że uda mu się sprowadzić tam rodzinę. Gdy okazało się to niemożliwe, wrócił do Warszawy. W getcie zajmował się organizacją samopomocy społecznej i działalnością kulturalną (przygotował między innymi jubileusz Pereca). W lecie 1942 r. wycieńczony z niedożywienia zachorował na tyfus. W grudniu, w wieku czterdziestu lat, zmarł na cukrzycę, na którą cierpiał od dłuższego czasu. W czasie wojny zaginął gotowy rękopis drugiego tomu wspomnień *In a literariszer sztub*. Z „literackiego domu” ocalał jedynie Aron Cejtlin. Zginęła żona Elchonena, Renia, jego dwóch synów – młodszy Adaś i dorosły już Dawid, młody malarz Hilel Cejtlin z żoną i synem Aronem.

Natalia Krynicka – badaczka literatury jidysz i tłumaczka, pracuje w Bibliotece Medema w Paryżu, wykłada język i literaturę jidysz na Sorbonnie.